

Dwa oblicza Afryki

Od wioski plemienia „Fuzzy-Wuzzy” w Sudanie do pałacu afrykańskich monarchów ludu Fulanów na terenie płaskowyżu Futa Dżalon (Fouta Djallon) w Gwinei. Wspomnienia reżysera-dokumentalisty z pocz. lat 60.



Tadeusz Jaworski w Futa Dżalon, fot. arch. T. T. Jaworskich

Tadeusz Jaworski (1926-2017)

Wybór, opracowanie tekstu i redakcja Joanna Sokołowska-Gwizdka

SUDAN

Minęły prawie trzy dni od naszego przyjazdu. Wydawało mi się, że dostatecznie poznaliśmy już codzienne życie „Fuzzy-Wuzzy” i byliśmy przekonani, że mając ich

zgodę i przyjazny stosunek, zrealizujemy unikalną i dramatyczną sekwencję do pełnometrażowego filmu „Zmierch czarowników”. Z takim zamiarem przecież tu przyjechaliśmy. Za pośrednictwem naszych przewodników Alego i Ahmeda oględnie rozpocząłem negocjacje z „Sheikiem” w sprawie współpracy jego klanu, przy realizacji filmowych zdjęć. Mimo okazanej nam serdeczności w ciągu tych kilku dni pobytu, nagle w czasie rozmowy wyczułem wyraźnie ze strony „Sheika” coraz to większy chłód w stosunku do nas i naszych zamiarów, w rezultacie czego nastąpił niespodziewany krach w naszych stosunkach.

Kiedy mężczyźni klanu, zebrani na placu w środku osiedla, jak zwykle każdego dnia, z mieczami u boku, nożami za pasem i z oszczepami w ręku, zobaczyli moich operatorów przygotowujących filmowy sprzęt, a przede wszystkim kamery z obiektywami, momentalnie wyczułem w ich zachowaniu coraz to większe napięcie i wyraźne zdenerwowanie, a w ich świdrujących oczach pojawiła się dzikość. Pełen konfuzji nie bardzo wiedziałem co robić, czy się do nich uśmiechnąć, czy raczej nie zwracać uwagi udając, że tego nie widzę. Mimo, że było diablo gorąco, ok. 50 stopni Celsjusza, poczułem na ciele obficie spływający zimny pot.

Pomagając moim kolegom w przygotowaniu sprzętu do zdjęć, od czasu do czasu zerkałem na „Sheika”, który podszedł do grupy wojowników i gestykułując oraz pokazując na nas palcem, coś do nich bełkotał. W międzyczasie grupa tubylców się powiększyła, spoglądając na nas niezbyt przyjaźnie, a nawet wrogo. Z minuty na minutę coraz więcej przybywało uzbrojonych wojowników. Ali i Ahmed, którzy pomagali nam w przygotowaniu sprzętu, w pewnym momencie wyciedzili do nas przez zęby dramatycznym głosem - *let get out from here and quickly....they will kill us Tad!* (*uciekajmy stąd szybko, zabiją nas, Tad*). Okazało się, że powodem tej wrogości były obiektywy naszych kamer, w których zobaczyli „złe oczy”. Według nich mogły one przynieść całemu klanowi nieszczęście, a słowa - *raz dwa trzy... próba głosu, próba głosu...* wydobywające się z kamery dźwiękowej, były dla nich czymś, ze świata czarnoksięstwa. Nie pomogły perseweracje z mojej strony, górę wziął zabobon.

Z każdą następną chwilą narastała wroga atmosfera. Ali, który studiował w Polsce na Politechnice, mówił wprawdzie nie najlepiej po polsku, niemniej można go było

bez kłopotu zrozumieć, w pewnym momencie cały roztrzęsiony, podskoczył do mnie i ryknął – *prose pana, uciekajmy... ale szybko...bardzo szybko*. Zrozumiałem jego przynaglania i oblany zimnym potem syknąłem do moich kolegów – *chłopaki, „spierdalamy” stąd i to szybko... bo nas wykastrują*. Nie zwlekając ani sekundy tak szybko jak mogliśmy wraz z naszym sprzętem znaleźliśmy się za roгатką osiedla, zostawiając za sobą wojowników „Fuzzy-Wuzzy”. Zwinęliśmy byle jak nasze namioty i wrzuciwszy je do przyczepy, spakowaliśmy resztę naszych rzeczy i sprzęt oraz załadowawszy to wszystko w pośpiechu na samochody, bez pożegnania ruszyliśmy na szybkich obrotach, z powrotem do Atbary. Odjechawszy mniej więcej 100 metrów od osiedla, zatrzymaliśmy się na moment. Z osady dochodził do nas coraz bliższy dźwięk... Uhhuuuuhhhhuu! Zza zakrętu, w dzikim marszu i z okrzykami, pojawili się nieco w pół zgięci, uzbrojeni w miecze, włócznie i łuki, wojownicy „Fuzzy-Wuzzy”. Stanęli na dróźnie, przestępując z nogi na nogę, jakby drepcząc w tańcu. Było ich na oko około 100 do 150-ciu. Ni stad ni zowąd cała stłoczona masa posunęła się kilka kroków do przodu, wymachując jednocześnie w tym samym rytmie włóczniami w górę i wykrzykując... UhhhhUhhhhuuu. Był to dla nas sygnał, aby niezwłocznie ruszyć w drogę. Jakby ktoś dał im komendę, nagle cała ta masa wojowników z wyciągniętymi oszczepami przed sobą, ruszyła szybkim krokiem w naszą stronę. Patrząc do tyłu, krzyknąłem do Sergiusza Sprudina – *daj na gaz!* Po chwili straciliśmy wojowników „Fuzzy-Wuzzy” z oczu, jak również tak pożądaną i zaplanowaną sekwencję o nie-arabskim plemieniu wojowników Beja, walczących w XIX wieku po stronie sudańskich Mahdistów, których rozślawił na cały świat w swoim poemacie jako „Fuzzy-Wuzzy” Rudyard Kipling, za ich bitewne przymioty – brawurę i dzielność.

Następnego dnia wczesnym rankiem spakowaliśmy nasz samochód z przyczepą i zjedliśmy pośpiesznie śniadanie. Było ono skromne i typowo sudańskie. Podano nam wpięrw herbatę z imbiru, który nazywają tu ginger, ponoć bardzo zdrowy, na stole zjawily się małe bocheneczki chleba, jak bułki, gulasz z fasoli podlany oliwa i posypany serem feta, sałatka z pomidorów zmieszanych z zieloną pietruszką i zalana jakimś ostrym w smaku sosem oraz smażone kulki z ziarna zbożowego posypane cukrem. Potem była mocna i bardzo słodka kawa, która postawiła nas na nogi. Jurek Gościk jak zwykle w dobrym nastroju, na zakończenie naszej śniadaniowej „sjesty”, ni stad ni zowąd smętnym głosem powiedział – *szczerze mówiąc chłopaki, byłem bardzo roztrzęsiony, bo myślałem, że nas „Fuzy-Wuzy”, naprawdę wykastrują. Pomyślcie panowie, nie dość, że pozbawili by nas*

*przyjemności życia, to świadomość, że paradowaliby po osiedlu z naszyjnikami z naszych zasuszonych jaj, jako trofeów i symbolu ich dzielności... no tego „kurwasz pałasz” bym nie przeżył. W tym momencie operator Sergiusz Sprudin wypiwszy ostatni łyk kawy, zwrócił się sarkastycznie do Jurka Gościka - *przesadzasz Jurek... dramatyzujesz. Na to Jurek gwałtownie zareplikował - może dla ciebie Sergiusz, ta sprawa jest już nieważna... ale dla mnie...* Przerwałem ten dyskurs - *czas pożegnać naszych przewodników i ruszyć w drogę* - powiedziałem. Pożegnaliśmy więc życzliwych Alego i Ahmeda, którzy okazali nam, dzięki znajomości narzecza i lokalnych ludzi, nieocenioną pomoc. Na samą myśl, że wojownicy „Fuzzy-Wuzzy”, paradowaliby z naszyjnikami z naszych wysuszonych jąder w poszukiwaniu żon, oblał mnie zimny pot i przyznałem rację Jurkowi.*



Pustynia, fot. Wolfgang_Hasselmann z Pixabay

Na horyzoncie, na skraju wzgórza, wolnym krokiem szły objuczone wielbłądy. Po uzgodnieniu z moimi kolegami drogi, w rezultacie wybraliśmy pustynny szlak pełen wydm, po wschodnim brzegu Sahary, przez Pustynię Nubijską do Wadi Halfa, która z informacji, jakie posiadaliśmy, była niebezpieczna, zarówno ze względu na ruchome piaski, jak i ewentualnych profesjonalnych bandytów. Jednak

licząc na odrobinę szczęścia i pomoc ze strony lokalnej ludności, ta wersja wydawała mi się do przyjęcia. Pustynia Nubijska na odcinku między Wadi Halfa a Abu Simbel była bardzo trudna do przebycia bo nie istniała tam żadna droga, ani dróżka, za wyjątkiem jakiejś zdarzającej się koleiny. Najbardziej jednak niebezpieczne były tak zwane „quick sands” - ruchome piaski, na których, bez bardzo doświadczonego przewodnika, można było utonąć wraz z całym dobytkiem.

GWINEA

Z racji mojego zawodu, w Europie, Ameryce czy w Afryce, miałem okazję spotykać rozmaitych ludzi, o różnych statusach społecznych, rodzinnych czy zawodowych. Zawsze przy sobie nosiłem małą nagrywarke, dzięki czemu po czasie mogłem odtworzyć czy to wywiady, czy zwyczajne rozmowy. Spotykałem przecież monarchów, prezydentów, premierów i innych polityków, a także, co było dla mnie ogromną satysfakcją, uczonych, filozofów, teologów, pisarzy, ludzi sztuki i kultury. Dziś większość z nich nie żyje. Jedni umarli śmiercią naturalną, inni w wyniku politycznych rozgrywek byli mordowani. Z perspektywy czasu, to co udało mi się zarejestrować, jest już historią, a oryginalne i unikalne zapisy na taśmie, nigdzie nie publikowane, są dla mnie niezwykle ważne.

Spotykaliśmy na naszych drogach niezwykle „personas dramatis”, o długich nazwiskach, takich jak król Ashantów ze Złotego Wybrzeża, Otumfuno Nana Osei Tutu Agyeman, Ashantene Prempeh II. Był to monarcha o niezwykle błyskotliwej inteligencji i wykształceniu, które otrzymał na Uniwersytecie w Oksfordzie, siedzący na słynnym złotym tronie Ashantów, którego waga ma ponad tysiąc kilogramów szczerzego złota i tylko on, przy rzadkich okazjach, miał prawo na nim usiąść. Kiedy robiliśmy z nim zdjęcia, w jego królewskiej rezydencji niedaleko stolicy królestwa Ashantów Kumasi, król uśmiechając się popełnił uchybienie formie i plemiennemu zakazowi, gdyż pozwolił mi usiąść na swoim tronie. Tron był duży i dość wygodny, więc pomyślałem sobie, jaka byłaby to niezwykła frajda, gdybym mógł go zapakować i przywieźć na Sadybę, do naszego domku, nie tyle, aby na nim siedzieć ale korzystać z jego wartości.

Przy okazji odwiedzin wioski Timbo, spotkaliśmy się z rodziną ostatniego monarchy królestwa Futa Dżalon, króla Kiermo Oumara Bah, z dynastii, która rządziła tym państwem od około 300 lat. Timbo, mała wioska położona spektakularnie w niewielkiej kotlinie, tuż u podnóża górskiego masywu, w swoim czasie była okazałą stolicą królestwa. Po drodze do Timbo minęliśmy XVIII-to wieczny symbol religii islamskiej, niezwykle interesujący meczet wbudowany w krajobraz płaskowzgórza i stanowiący ciekawy relikwiarz muzułmańskiej sakralnej architektury.



Meczet w wiosce Timbo, fot. www.delcampe.net

Król Bah zmarł w 1946 roku, tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej. Zachowała się jednak jego stara rezydencja zamieszkała przez najbliższą rodzinę jego Królewskiej Mości. Król, jak się dowiedziałem, był skrajnie konserwatywnym muzułmaninem. Jak przysługiwało muzułmaninowi, miał cztery żony i ogromną ilość dzieci. Tuż po jego śmierci trzy z jego żon powróciły do swoich rodzin, natomiast czwarta i najmłodsza żona, dziś sędziwa królowa Neme Futia Bah, tradycyjnie sprawowała rolę Królowej Matki. Jej obecna funkcja, podobnie jak i pozostałej rodziny królewskiej, miała charakter czysto ceremonialny. Królowa

Neme Futia Bah, panowała, lecz nie rządziła. Odwiedziliśmy ją w jej pałacu. Okazała się kobietą wysoką i szczupłą, o niezwykle nobliwej urodzie, jak również osobistej godności. Zrobiła na mnie duże wrażenie, swoją aparycją i sposobem bycia. Uwagę moją zwróciła jej niezwykle unikalna i interesująca fryzura, uformowana z dwóch sztywnych warkoczy, ustawionych do przodu jak rogi.

Królowa przyjęła nas w oficjalnym salonie swojej rezydencji. Ubrana była w bogate królewskie szaty oraz obwieszona olbrzymią ilością biżuterii. Nie mam wątpliwości, że nie były to sztuczne kamyczki. W całości połyskująca złotem i srebrem oraz mnóstwem kolorowych szlachetnych i oczywiście drogocennych kamieni, przypominała mi z wyglądu niezwykle strojną bożonarodzeniową choinkę. Dziś wiele kobiet, jak i mężczyzn w Gwinei porzuca tradycyjny ubiór muzulmański na rzecz europejskiego. Wielu tubylców obojga płci, prawdopodobnie dla zademonstrowania swojego sentymentu dla nowo wyzwolonego kraju, nosi koszule, zaś kobiety sukienki w pasy, reprezentujące kolorami narodową flagę.

Stara królowa cieszyła się ciągle ogromnym autorytetem i szacunkiem, wśród tubylczej ludności z plemienia Fulani, jak również szacunkiem nowych okręgowych władz. Była osobą inteligentną, doskonale rozumiejącą nową sytuację polityczną i administracyjną kraju oraz zmiany społeczne, które zaszły w młodej republice. Zdawała sobie również sprawę z tego, że królewska autokratyczna władza, czyli jednowładztwo, które jeszcze do niedawna spoczywało w rękach jej męża, dziedzicznego i dożywotniego monarchy, despotyzm i feudalizm, którym cieszyła się dynastia Bah od wielu pokoleń, stała się bezpowrotną przeszłością. Stąd też zachowując tytuł Królowej Matki i rozumiejąc jej tytułarną i ceremonialną rolę, tak ona, jak i jej dzieci powoli zaczynały się „demokratyzować”. Jej najstarszy syn, król Ibrahim Tiermo Bah, który objął tron po swoim ojcu i piastował go aż do roku 1956, szybko zorientował się w zasadniczych i radykalnych zmianach, jakie zaszły w nowo wyzwolonym kraju i dobrowolnie się zdeponizował, obejmując jednocześnie oferowane mu przez rząd gwinejski, stanowisko gubernatora okręgu Telimele. W wyborach do Zgromadzenia Narodowego w stolicy Konakry, a więc parlamentu republiki gwinejskiej, zajął on również fotel poselski, jako deputowany rejonu Futa Dżalon.



Pałac monarchów afrykańskich, fot. Sharon Ang z Pixabay

Mimo, że królowa Neme Futia Bah, nie była uprzedzona o naszej wizycie, podjęła nas ze znaną mi z innych okazji, starą tradycyjną, afrykańską gościnnością i wystawnym obiadem. W dawnych czasach stary król Kiermo Oumara Bah, często podejmował w tej rezydencji białych gości. W związku z tym z jego inicjatywy zbudowano tu specjalną willę, której dał nazwę Fata, przeznaczając ją wyłącznie dla dystyngowanych gości, którzy zdecydowali się zatrzymać tu na noc. Rezydencja przypominała mi skrzyżowanie architektury afrykańskiej z europejską. Obok niej, w pięknie utrzymanym ogrodzie, wśród cytrusowych drzew, zbudowano tu specjalną altanę, zwieńczoną daszkiem, z ryżowej słomy. Z tego co mi szepta na ucho, siedzący obok mnie gubernator Mamodou Bela, właśnie w tej altance, pod tym daszkiem z ryżowej słomy, król Bah podejmował, znakomitą ponoć herbatą, zagranicznych gości, prowadząc z nimi prywatne, jak również oficjalne rozmowy, a często nawet rokowania i pertraktacje.

Cały kompleks królewskiej rezydencji otoczony był kamiennym murem, z wielkim dziedzińcem w jego centrum oraz pełnymi kolorowych kwiatów, wśród których pośrodku rosły stare cytrusowe drzewa. Wnętrza poszczególnych willi urządzone

były po europejsku. Westybul, salony i każdy z gościnnych pokoi wyłożone zostały dywanami. W rogu jednego z salonów uwagę moją zwróciła, ogromnych rozmiarów, pancerna ogniotrwała kasa. Wspaniała biżuteria królowej Neme Futia Bah, dała mi asumpt, że nie świeci ona pustką. Ściany głównej rezydencji pałacu zdobiły stare i piękne rzeźby murzyńskie, wyciosane rękami ludowych snycerzy, które mogłyby bez wątpienia stanowić znakomitą kolekcję sztuki afrykańskiej, w każdym z muzeów świata. Patrząc na nie i na wystrój wnętrza z antycznymi meblami pochodzenia europejskiego, doszedłem do niezwyklej i dość niespodziewanej konkluzji. Koncepcja połączenia tak różnych elementów wizualnych, nie tylko nie kłóciła się ze sobą, a wręcz przeciwnie uzupełnia się, stwarzając przy tym bardzo specyficzną atmosferę wnętrz.



Wnętrze pałacu monarchów afrykańskich, fot. Sharon Ang z Pixabay

W salonie jadalnym dość okazałych rozmiarów w jednym z rogów stał nowoczesny sprzęt audio złożony z radia, adapteru oraz ogromnej ilości płyt. Dopelnieniem wnętrza tej rezydencji i gościnnych willi, były nowoczesne łazienki wykładane białymi kafłami z emaliowanymi wannami, umywalkami, klozetami, jak również z dość wyszukаныmi sedesami oraz bidetami. Na stolikach pełno było

przyborów toaletowych oraz rozmaitych perfum i toaletowych wód. Z tego by wynikało, że stary król Kiermo Oumara Bah, umiał dbać o higienę, zarówno swoją, jak i swoich czterech żon. W czasie oględzin kompleksu pałacowego wraz z otaczającymi go willami, naliczyłem w łazienkach mnóstwo bidetów. Nie wiem kiedy je tu zainstalowano, jestem jednak przekonany, że jest to inspiracja dawnych francuskich kolonizatorów. We Francji najważniejszymi elementami wyposażenia domów dla kobiet były bidety, a do tego duża ilość perfum oraz pomadek do ust. Na jednej z werand zauważyłem podwójny fotel-huśtawkę, ze specjalnym daszkiem dla ochrony przed słońcem. Na nim podobno król Bah lubił wypoczywać, przeważnie w towarzystwie jednej ze swoich żon.

Tuż przed udaniem się do jadalni sędziwa królowa Neme Futia Bah, nagle podniosła się z fotela i pożegnawszy się z nami serdecznie, z lekkim skłonem głowy w naszą stronę, pełna godności, wraz z towarzyszącymi jej córkami, księżniczkami Bojko, Asjata i Hedzatu, opuściła nas udając się w stronę prywatnej części ich rezydencji-pałacu. W pierwszej chwili byłem nieco zaskoczony, tym nagłym pożegnaniem i opuszczeniem salonu. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że islam zabrania kobiecie, nawet jeśli jest królową czy księżniczką, zasiąść do tego samego stołu z mężczyznami. Gospodarzem i osobą pełniącą honory domu był więc starszy wiekiem, o pięknej hebanowej skórze, szczupłej sylwetce, niezwykle szlachetnych rysach twarzy oraz eleganckim, pełnym godności sposobie bycia, czarnoskóry muzułmanin, będący urzędnikiem dworskim w służbie monarchy. Coś w rodzaju szambelana. Ubrany był w białą długą togę sięgającą mu do kostek, z białą, szamerowaną złotą nicią „jarmułką” na głowie, spod której wychodziły na zewnątrz siwe „barankowe” włosy. Jak przystało na dworskiego urzędnika „szambelan” podjął nas wykwintnym obiadem, który na dużych srebrnych półmiskach wniosła bezszelestnie pałacowa służba. Jak zwykle w takich okolicznościach przy okazji oficjalnych kolacji jednym z głównych dań było tradycyjne „fo-fou”, tym razem po królewsku przyrządzone znakomite, z mięsem baraniny... i o dziwo w bardzo delikatnym sosie.

Wspomnienia Tadeusza Jaworskiego, reżysera-dokumentalisty z Toronto

ukazują się w pierwszy poniedziałek miesiąca. Ukazało się już ponad 30 odcinków o dzieciństwie reżysera w Czortkowie, wojnie, czasach powojennych, szkole filmowej w Łodzi, pracy dokumentalisty itd. Najwięcej części dotyczy wspomnień afrykańskich z lat 50/60. gdzie reżyser został wysłany przez Światową Organizację Zdrowia, aby zrealizował filmy o zdrowiu. To był wyjątkowy czas przemian w Afryce i okazja do poznania zanikających kultur. Poprzednie odcinki:

“Fuzzy-Wuzzy” plemię ze wzgórz Morza Czerwonego

Kobieta bez twarzy

Wierzenia i obyczaje Masajów